

GWIAZDY ROMANSU



Diana

PALMER

**SŁODKO-GORZKIE
POCAŁUNKI**

Diana
PALMER

Słodko-gorzkie pocałunki

Tłumaczyła
Marcelina Jarzębska

Tytuł oryginału: Circle of Gold

Pierwsze wydanie: Silhouette Books, 2000

Redaktor serii: Grażyna Ordęga

Opracowanie redakcyjne: Joanna Rodziewicz-Cygan

Korekta: Sylwia Kozak-Śmiech, Joanna Rodziewicz-Cygan

© 2000 by Diana Palmer

© for the Polish edition by Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o., Warszawa 2011

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Znak firmowy Wydawnictwa Harlequin i serii Harlequin Gwiazdy Romansu są zastrzeżone.

Wydawnictwo Arlekin – Harlequin Enterprises sp. z o.o.
00-975 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

Skład i łamanie: COMPTeX[®], Warszawa

ISBN 978-83-238-8267-1

Gwiazdy Romansu

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Kate Mayfield była podekscytowana perspektywą nowej pracy, a jej szare oczy błyszczały z zadowolenia, kiedy siedziała w obszernym salonie w domu na ranczu Double C w Medicine Ridge. Czekala ją rozmowa kwalifikacyjna na stanowisko sekretarki w biurze tego wielkiego gospodarstwa. Kandydatka miała dopiero dwadzieścia dwa lata, dyplom szkoły dla sekretarek i wielką chęć ulepszania wszystkiego, co można było w życiu poprawić. Ponadto chciała pracować u Johna Callistera, którego poznała przypadkiem i do którego zapalała młodzieńczą sym-

patią. Wkrótce okazało się, że John był młodszym synem magnatów prasowych z Nowego Jorku i potentatów ziemskich w stanie Montana.

Czekając na swoją kolej, dziewczyna czytała ciekawą historię całej rodziny Callisterów, opisaną w jednym z elitarnych czasopism. Państwo Callisterowie mieszkali w Nowym Jorku, gdzie zajmowali się wydawaniem wielu czasopism, między innymi bardzo znanego i poważanego pisma poświęconego tematyce sportowej. Na krótkie urlopy wyjeżdżali do posiadłości rodzinnej na Jamajkę.

Callisterem, który dał początek amerykańskiej linii rodziny, był brytyjski książę, który wyemigrował do Stanów Zjednoczonych i w 1897 roku kupił w Nowym Jorku redakcję mało znanego pisma. Po jakimś czasie redakcja stała się potęgą wydawniczą, a jeden z jego synów przeniósł się do Montany, kupił tam ziemię pod pastwiska i założył ogromną hodowlę bydła. W końcu ranczo przeszło w ręce Douglasa Callistera, który wychowywał dwóch bratanków, Gilberta i Johna. Nikt

nie wiedział, dlaczego wuj zajmował się chłopcami i z jakiej przyczyny po jego śmierci posiadłość stała się własnością braci, ale zapewne była to jakaś mroczna rodzinna tajemnica dotycząca rodziców, którzy z nieznanых powodów nie zajmowali się własnymi synami.

Starszy z braci, trzydziestodwuletni Gilbert, został wdowcem trzy lata temu i obecnie wychowywał dwie córeczki, pięcioletnią Bess i czteroletnią Jenny. John, ten młodszy, nigdy się nie ożenił i pracował jako jeździec na pokazach rodeo, a także wystawiał na krajowych wystawach wyhodowane przez siebie byki rozplodowe rasy Angus.

Gilbert zajmował się marketingiem w gospodarstwie, zarządzał eksportem i zasiadał w radach nadzorczych dwóch międzynarodowych korporacji. Większość czasu spędzał jednak na ranczu, troszcząc się o wszystko po trochu.

W czasopiśmie zamieszczono jego zdjęcie, ale Kate nie musiała się mu przyglądać, żeby wiedzieć, jakiego pokroju jest człowiekiem. Miała okazję zerknąć na niego, kiedy

szła na rozmowę. Wystarczyło jedno spojrzenie, żeby wyrobić sobie zdanie o tym antypatycznym mężczyźnie, który, mimo że wcale jej nie znał, popatrzył na nią z wyraźną niechęcią.

Inna, bardziej zarozumiała młoda kobieta, mogłaby sobie schlebiać, że to oznaka zainteresowania. Ale nie Kate. Uważała, że ten wysoki, smukły mężczyzna nawet nie zainteresowałby się kimś takim jak ona. Z pewnością od razu poczuł do niej antypatię i zapewne nie dostanie tu pracy.

Popatrzyła dyskretnie na piękną, ciemno-oką blondynkę w mini siedzącą obok i krytycznie pomyślała o swojej zakrywającej kostki dżinsówce i szarej bluzce, dobranej do koloru oczu. Pomyślała, że jej długi, kasztanowy warkocz, owalna buzia i pełne usta pociągnięte lekko błyszczkiem nie pobiją konkurentki czekającej na rozmowę. Wiedziała, że ma odpowiednie kwalifikacje do pracy biurowej, ale mężczyźni często zatrudniali kobiety, które im się podobały, a nie te, które cokolwiek umiały.

Kate uważała, że powinna mieć zawód

w rękach, bo prawdopodobnie będzie musiała sama się utrzymywać całe życie. Raczej nikt się na nią nie połaszczy, domniemywała. Pomyślała o swoich rodzicach i bracie i przygryzła wargi. Za wcześnie, za wcześnie, westchnęła. Być może ta praca uchroni ją od codziennych rozmyślań.

– Panna Mayfield!

Podskoczyła na dźwięk głosu nieznoszącego sprzeciwu.

– Tak?

– Proszę wejść.

Wchodząc do gabinetu, przykleiła uśmiech do twarzy i zacisnęła dłonie na małej torebce. Z każdej ściany patrzyły na nią portrety okazałych byków i rozliczne medale zdobyte przez każde z tych zwierząt. Wokół mahoniowego, masywnego biurka pyszniły się wypoczynkowe meble obite czarną skórą. Na jednym z takich foteli siedział za biurkiem jasnowłosego mężczyzna, któremu ostre rysy nadawały wyraz surowości. Nie był to John Callister.

Kate nie usiadła, tylko stała niemal na baczność, wsłuchując się w mocno bijące

serce. To Gilbert Callister przeprowadzał rozmowy, i wiedziała, że sprawa jest przesądzona. Johna poznała w aptece w miasteczku, gdzie pracowała dorywczo jako magazy-nierka, aby opłacić swoją szkołę dla sek-reterek. John ją zaczepił i to on powiedział jej o wakacie w biurze swojego rancza. Dał jej po prostu szansę, ale jego brat zaraz ją na pewno odstrzeli.

Gilbert rzucił długopis na blat i powiedział:

– Proszę usiąść.

Poczuła, że ma miękkie kolana. Drzwi były zamknięte i została sama w jaskini lwa, ale postanowiła podjąć wyzwanie. Niech nikt nie powie, że się boi. Mogą ją rzucić na pożarcie lwom właśnie, a ona zapewne umrze z godnością jak prawdziwa Rzymian-ka... Otrząsnęła się. Naczytała się Pliniusza i Tacyta, a tu i teraz to współczesność, a nie pierwszy wiek naszej ery.

– Dlaczego pani chce tu pracować? – spytał obcesowo Gilbert.

Zaskoczona dziewczyna uniosła brwi.

– Bo John jest miłym facetem – odpowiedziała.

– Poważnie? – spytał zadziwiony.

– Kiedy pracowałam w aptece, zawsze był dla mnie uprzejmy – odparła wymijająco.
– Powiedział mi o tej pracy, bo wiedział, że kończę szkołę dla sekretarek i mam dobre oceny.

Gilbert zacisnął usta i nie zamierzał się uśmiechnąć. Lustrował powoli jej CV i list motywacyjny.

– Rzeczywiście – skwitował. – Naprawdę potrafi pani pisać 110 słów na minutę?

– Właściwie nawet szybciej.

– Jacyś narzeczeni?

– Słucham? – Zacisnęła palce na torebecce.

– Chodzi mi o to, czy jest pani uwikłana w jakieś sercowe sprawy, które mogą spowodować kłopoty w pracy – wyjaśnił i wyraźnie spiął się przed jej odpowiedzią.

– Właściwie to miałam jednego chłopaka, który był dla mnie bardziej jak brat – poruszyła się nerwowo – a tak naprawdę, to ożenił się z moją przyjaciółką. Mieszkam u ciotki w Billings i nie spotykam się z nikim.

Kate czuła się jak w imadle. Ten człowiek nie wiedział nic o jej pochodzeniu, inaczej

nie zadawałby tych dziwnych pytań. Powiedziała wprawdzie, że John jest super... o matko, czy jemu się wydaje, że ona poluje na facetów? Czy dlatego nie zechce jej przyjąć do pracy?

– Pani referencje są od dziwnego zestawu osób... – powiedział po chwili, marszcząc brwi. – Tak... katolicki ksiądz, ranczer z Teksasu, jakaś zakonnica i milioner niejasno powiązany z mafią.

– Przyjaźnię się z wyjątkowymi ludźmi.

– Można tak powiedzieć. A czy ten milioner to pani kochanek?

Ze zdumienia otworzyła usta i się zarumieniła.

– No dobrze, nieważne – powiedział szybko, niezadowolony, że w ogóle zadał to pytanie i zadziwiony jej reakcją. – Nie moja sprawa. W porządku, Kate... – niespodziewanie zwrócił się do niej po imieniu. – Kate, a jak masz naprawdę na imię?

– To jest moje prawdziwe imię.

– Milioner ma inicjały K.C. i jest około czterdziestki. – Zmrużył oczy.

– Tak. Uratował życie mojej mamie, kie-

dy nosiła mnie w brzuchu. I nie zawsze był milionerem.

– Wiem, był zawodowym żołnierzem, a właściwie najemnikiem. – Zmrużył oczy jeszcze bardziej. – Chcesz mi o tym opowiedzieć?

– Nie za bardzo.

– Dobrze. Jeśli to wszystko, to chyba będziesz się do nas nadawać. Nie działasz tak rozpraszająco, jak cała reszta kandydatek. Nie ma nic gorszego niż kobieta, której spódnica ledwo przykrywa majtki, a potem się dziwi, że wszyscy faceci gapią się, kiedy się pochyla. Mamy tu ściśle opracowany model ubioru i każdy musi się go trzymać.

– Nie mam spódnic, które by mi ledwo zakrywały... no, nie noszę takich krótkich – wypaliła wreszcie.

– Zauważyłem – skwitował. – No dobrze, to możesz zacząć w poniedziałek o wpół do dziewiątej. Czy John poinformował cię, że będziesz musiała z nami zamieszkać?

– Skądże!

– Nie w tym pokoju, oczywiście – powiedział i z uciechą patrzył, jak się czerwieni. –

Panna Parsons, zajmująca się moimi córeczkami, i pani Charters, która gotuje dla nas, mieszkają tu w domu, z nami. My zapewniamy wikt i opierunek, jak to się mówi, i pensję.

Tu podał kwotę, od której zakręciło się Kate w głowie. W porównaniu do zarobków w aptece, była to fortuna.

– Obejmiesz stanowisko osobistej asystentki, a to oznacza, że będziesz z nami czasami podróżować.

– Podróżować?

– Lubisz?

– O, tak, to znaczy lubiłam, kiedy byłam dzieckiem.

Patrzył na nią, jakby chciał się zorientować, czy miała zamożnych rodziców. Nie mógł wiedzieć, że oboje nie żyją.

– To jak, chcesz tę pracę?

– Tak.

– To powiem tym, które czekają, że mogą sobie iść.

Wstał zza biurka z niezwykłą lekkością i gracją i poinformował młode kobiety, że stanowisko zostało zajęte. Słysząc było szu-

ranie pantofli, jakieś komentarze i drzwi wejściowe się zamknęły.

– Dobrze, Kate, przedstawię ci...

– Tatusiu! – Usłyszała cienki głosik dobiegający z końca holu. Mała, rozczochrana dziewczynka rzuciła się w ramiona ojca, łkając donośnie.

Podniósł ją i cała oschłość zniknęła z jego twarzy.

– Co się stało, kochanie? – spytał najczulszym tonem, jaki Kate kiedykolwiek słyszała.

– Bawiłam się razem z Jenny, a ten wielki pies chciał nas ugryźć!

– A gdzie jest Jenny? – spytał z nutą paniki w głosie.

Od drzwi wejściowych nadbiegła druga, młodsza dziewczynka, rozmazując łzy brudnymi piąstkami. Podniosła rączki, a ojciec przygarnął ją, nie bacząc na uwalaną błotem sukienkę.

– Nikt nie ma prawa zrobić krzywdy moim dziewczynkom. Czy ten pies was pogryzł?

– Nie, tatusiu.

– To niedobry piesek – narzekała Jenny.
– Niech sobie idzie!

– Dobrze, zaraz pójdzie – odpowiedział Gilbert, całując małą w policzki.

Drzwi wejściowe otworzyły się ponownie i do domu wszedł John Callister. Nie przypominał miłego, pogodnego człowieka, jakiego poznała w aptece. Jego twarz pościemniała ze wzburzenia, a oczy lśniły gniewem.

– Nic im nie jest? – spytał brata, przystając, aby pogłaskać bratanicę po głowach.
– To ten cholerny kundel należący do Freda Simsa. Staralem się zagrozić mu drogę, ale na mnie też chciał się rzucić. Kazałem Simsowi się go pozbyć, ale odmówił, więc pozbyłem się Simsa.

– Trzymaj – rozkazał Gilbert i przekazał mu dziewczynki, po czym wyszedł z domu wojskowym krokiem. John popatrzył za nim.

– Mam nadzieję, że Sims zdąży dojść do swojej ciężarówki, zanim Gilbert go dorwie. Ale nie daję głowy. – Pocałował dwie małe buzie. – Jak tam, moje królewny?